



Narodziny książki

Jan Gutenberg siedział zamyślony, z pochyłą głową w swej izdebce, przy chwiejnym płomieniu lampy oliwnej, przy stole, zarzuconym arkuszami pergaminu i drewnianymi deszczułkami. Był to wieczór sylwestrowy 1437 roku, wieczór, w którym cała Moguncja rozbrzmiewała zawyczącą wesołą, hulaszczą piosenką.

W duszy Gutenberga gromadziły się cienie, a na jego myślącym czole jawiła się zmarszczka bolesnej zadumy. Przyszła nań znowu chwila zwątpienia we własną pracę, we własny wysiłek twórczy, który go miał doprowadzić do wymarzonego celu, a celem tym było uprzystępnienie szerokim masom książki, dostępnej dotąd jedynie małej garstce szczęśliwych wybrańców.

Z za okna, złożonego z okrągłych szybek, oprawnych w olów, dochodziły dźwięki orkiestry, przygrywającej do tańca i widać było przesuwające się korowody karnawałowych masek. Raz po raz ktoś pukał w okno i wołał na cały głos:

— Chodź, Janie, zabawić się z nami wesoło! Przecież to noc sylwestrowa!

Ale Jan Gutenberg nie ruszał się z miejsca. Deszczułki z powyrzynanemi wypukło ornamentami i literami, które nacierał farbą i odbijał potem na pergaminie zapomocą prasy śrubowej, był to jedyny dotychczasowy sposób drukowania książek lepszy oczywiście od przepisywania i iluminowania ręcznie wielkich foljantów, dostępnych jedynie dla bogaczy, ale także jeszcze daleki od ideału książek dla wszystkich!

Mimo pośpiechu, jakim to postępowanie przewyższało przepisywanie, w zasto-

sowaniu dosyć jeszcze było żmudne i morderne, ponieważ tyle należało przygotować tablic rzniętych, ile książka zawierała stron.

Drzwi izdebki uchyliła żona Gutenberga w balowej sukni i czarnej maseczce na twarzy.

— Cóż to, sądzisz, że wieczór sylwestrowy spędzę z tobą w domu! — wołała gniewnie. — Jeszcze czego! Siedz sobie sam, jeśli masz ochotę marynować się wśród szpargałów!

Gutenberg spojrział na nią ze smutkiem.

— Bądź cierpliwa jeszcze chwilę — powiedział łagodnie, — a zobaczysz, że święta iskra, która tli w mej duszy, tryśnie w górę jasnym płomieniem i obdarzę ludzkość tym, co sam Bóg złożył w moje ręce, w ręce najpokorniejszego swego syna!

— Tere fere kuku! — wołała rozłoszczona kobieta. — Chcesz może, żebym z tobą czekała przez cały wieczór na ten cud! Ani mi się śni! Lecę do gospody-bo czas mija i szkoda mi każdej zmarnowanej chwili.

Trzasnęła drzwiami. Drukarz westchnął:

„Kiedyż, kiedyż będę nareszcie mógł zanieść ludziom dobrą nowinę! — modlił się w duszy. — Kiedy spełni się moje gorące marzenie i będę drukował nietylko karty do grania i obrazki świętych z krótkimi napisami, ale całe książki!”

Usłyszał ciche pukanie do drzwi:

— Proszę wejść — zawołał otrząsając się ze swych marzeń.

Do izdebki wsunęła się Agnieszka, cór-

ka rymarza, z koszykiem, w którym były owoce, ciasto i flaszka wina. Z nią razem wszedł jej narzeczony, młody drzeworytnik Jakób, który pracował nieraz pod kierunkiem Gutenberga.

— Dobry wieczór, mistrzu! — zawołałi młodzi. — Przyszliśmy życzyć wam szczęśliwego roku i wypić z wami lampkę wina!

— Dziękuję wam, żeście przyszli! — odpowiedział uradowany drukarz, usuwając pergaminy i tablice, aby na stole zrobić trochę miejsca.

Zegar w kącie izby wybił poważnie godzinę dwunastą, a wtedy młodzi trącili się kieliszkami z drukarzem.

— Na zdrowie waszych, mistrzu, pozycyna! — zawołał Jakób. — Niechaj w tym roku spełnią się wasze pragnienia i niechaj danem wam będzie ludzkości, tonącej w mrokach zanieść światło i przez księgi szerzyć wiedzę i miłość dla Stwórcy!

Mistrz Gutenberg wysłuchał ze wzruszeniem tych życzeń.

— Pozwól mi, mistrzu, lać teraz oliwę! — zawołała Agnieszka. Nigdy dotąd bez tej zabawy nie upłynął mi sylwestrowy wieczór!

Gutenberg nic nie miał przeciwko temu. Skinął głową, a wtedy dziewczyna zakrzętała się po izbie i w chwilę później rozgrzany oliwę kropelkami spływając zaczął do miski, napełnionej wodą, którą ustawiła na jednej z rzeźbionych drewnianych tablic. Wśród śmiechu i żartów tłumaczyli młodzi drukarzowi, co rzekomo przedstawiają ulane kawałki oliwy, wyciągane z wody. Były to drzewa, zwierzęta, zacząrowane zamczyska, broń rycerska i t. p., a do każdego z tych przedmiotów dołączała dowcipna dziewczyna jakąś przepowiednię, która w nadchodzą-

cym roku miała się napewno spełnić!

— O, dla mistrza książka! Naturalnie książka! Cóż innego ułać się mogło, jak nie książka! — zawołała wesoło, wyciągając z wody kawałek oliwy, który istotnie z kształtu przypominał książkę.

Mistrz Gutenberg uśmiechnął się, odbierając z rąk Agnieszki ową oliwianą książkę, i wznosząc do góry oczy, zaszeptał ze wzruszeniem.

— Obyś to wyprorokowała w dobrą godzinę, Agnieszko!

Po północy młodzi opuścili izdebkę. I znowu drukarz pozostał sam ze swemi myślami i swemi niespokojnymi marzeniami.

Lampka, do której zapomniał dolać oliwy, zgasła nagle i w izdebce zapanowały ciemności.

Ale gdy przez okągłe szybki wpadło światło księżyca, zabłysła w paru miejscach rzeźbiona deszczulka, nad którą Agnieszka śmiejąc się i żartując lała przed chwilą oliwę, który przez jej nieostrożność rozprysnął się w dobowych kawałeczkach dokoła miski.

Gutenberg nie mógł oczu oderwać od tej deszczulki. Oliwę pobłyskiwała w drzewie, we głębiach, które on sam powyrzynał, aby móc osiągnąć wypukłe litery i znaki. Gdy drżącymi rękami podważył błyszczące kawałki metalu i wyciągnął je, okazało się, że było one zupełnie dopasowane do tych wgłębień i miały jednakową wysokość.

Z piersi jego wyrwał się okrzyk triumfu...

— Niechaj Bogu najwyższemu będą dzięki! — zawołał, padając na kolana. Odkryłem w tej chwili tajemnicę druku i — ruchomej czcionki!

Z. Rabska

Sarenki

Była zima. Śnieg zaczął padać i padał, sypał... Najpierw ubrał drzewa i krzewy w cieniutkie koszulki, potem koszulki zmienił w bielutkie sukienki, potem z sukienek zrobił kożuszki, a wreszcie z kożuszków wielkie kożuszyska, a z białych czapeczek ogromne czapiska. Wtedy już wszystkim drzewom, krzewom i trawkom i oziminom było ciepło.

Ciepło było także w dużym, starym

dworze, w którym mieszkał Tadzil z rodzicami i młodszym braciszkiem tედրսiem.

Dzieci cieszyły się zimą i lepiły bałwany śniegowe.

Przyszedł jednak dzień, że nikt z domu ruszyć się nie mógł, śnieg zasypał ścieżki, drogi, dosięgnął szczytów płotów. Wtedy ojciec Tadzia kazał zrobić z desek pług,

do którego zaprzęono konia; plug rozgarnął śnieg i tworzyła się ścieżka.

Po tym przyniesiono ze stodoły wielki snop owsa i zatknięto go na długim kiju przed oknami dzieci.

— To dla ptaszków — powiedział ojciec. — W śniegu nie mogą znaleźć pożywienia. są głodne, trzeba je nakarmić.

Niebawem zjawił się i przysiadł na snopku odważny wróbel, za nim z radosnym ćwierkaniem przyleciały inne, przyfrunęły sikorki a nawet stara zięba.

Dzieci przytknęły noski do szyb, strasznie rade, że ptaszki mają co jeść.

Byłyby patrzyły tak długo, kto wie dopóki, ale ojciec wszedł do pokoju i powiedział:

— Odziejcie się dobrze, pojedziemy do lasu.

Dzieci klasnęły w rączki, zapominając o ptaszkach.

— Nie pytacie się nawet poco?

— No, poco? Tatusiu, powiedz!

— Zawieziemy sarenkom siana. Zajączek zawsze tam sobie coś z pod śniegu wygrzebie, na miękkich łapkach po wierzchu przejdzie, lis szkodnik da sobie radę, a biedne sarenki, o cieniutkich nóżkach, zapadają raciczkami głęboko w zaspę. chodzą im trudno; w wysokim lesie nie do jedzenia niema, mogłyby zginać z głodu. Pomyślcie tylko: z głodu!

— Dlatego zawieziemy im sianka, o, jak to dobrze — wołał Tadzik.

Zajechały sanie. Mamusia otuliła dzieci ciepłutko. Tatuś cmoknął na konie.

O, jakże było przyjemnie jechać, wiedząc, że wiezie się siano sarenkom! Siano było śliczne, zieloniutkie i pachniało latem. Konie szły powoli, zapadając w śnieg po brzuchy, czasem sanie przechylały się, wtedy Jędrus przycisnął się mocno do mamusi, a Tadzik chwycił pole tatusiowego futra.

Na polu dmuchał ostry, północny wiatr. Dzieciom poczerwieniały buzie, w oczach skłily łzy, ale gdy znaleźli się w lesie, zrobiło się cicho i ciepło.

— Dokąd pojedziemy?

— Nad źródelko, z którego wypływa strumyk, tam najczęściej przychodzi sarenki, żeby pić wodę.

Przy źródelku rozciągała się niewielka polanka; stały tam drzewa okutane w ogromne białe futra śniegowe tak że im tylko wystawały końce gałązek jak końce palców a i te miały śniegowe rękawiczki. Konie szły z trudem. W przepaściwym śniegu widać było głęboki trop saren.

— Żeby tak zobaczyć sarenkę — szepnął Jędrus.

— Ja już raz widziałem, prawda Tatusiu? Z wiosną, na koniczynie pasła się spokojnie, a jak usłyszała nas, podniosła głowę, spojrzała, i myk do lasu — powiedział Tadzik.

— Przestraszyła się.

— Teraz nie powinna się bać, przecież wieziemy jej sianko, powinna się pokazać, koniecznie — upierał się Jędrus.

W pewnym miejscu ojciec zatrzymał konie. Stała tu na polance strzeszka oparta na czterech słupach. Dzieci ją nieraz latem widziały.

Ojciec zeszedł z sań i brodząc ciężko w śniegu, kładł siano pod tę strzechę, między drągi jodłowe w rodzaju drabiny, jaką ma bydło w stajni.

— Czy one tylko tu przyjdą, czy trafią? — niepokoił się Tadzik.

— Trafia, synku, mają węż doskonały, a przytem chodzą tu przeciw pić wodę. W zeszłym roku też dla nich siano było.

— Żeby tylko nie zabłądziły, żeby nie poszły gdzie indziej.

— Będą jadły, będzie im smakowało, będą się cieszyły, prawda, tatusiu?

— I już nie zgina z głodu!

Zawrócili do domu.

Wiatr znów szczypał dzieciom buzie, ale tego nie czuły. Było im bardzo radośnie.

Kiedy stanęły przed domem, Tadzik spytał:

— A jutro pojedziemy zobaczyć, czy sarenki zjadły siano?

— Pojedziemy.

Gdy nastał wieczór mroźny wyskrzozny od gwiazd, dzieci, leżąc w łóžeczkach i mrużąc już senne oczka, myślały jeszcze wciąż o sarenkach. A gdy sen już całkiem zaciśnął im powieki, śniły, że obok źródelka, pod wielkim bukiem sarenki jedzą śliczne, zielone, latem pachnące siano, które im rano zawiozły.

A w tej samej chwili, skubiąc smakowite siano, stado płowozłotych sarn podniosło ku tym samym gwiazdom, które patrzyły w okna dzieci, duże, łagodne oczy:

— Dziękujemy Ci, Stwórco, że skierowałeś ku nam dobrą ludzką dłoń, co nas ochrania od głodu.

M. Czerkawska

Jak Pyza



Rankiem żubr ją w mig wywiózł za bory,
rozstał się z nią pod starym jaworem.
— Żegnaj żubrze. — Bądź zdrowa, gosposiu.
— Dzięki, żeś mnie na karku ponosił.

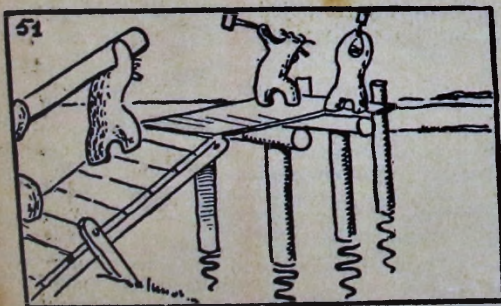


Nie były to zwykłe drwale, lecz drwale z pioski
mieli miast gęb — dziuple krągłe, zamiast nos

bo to były z wielkich lasów cudaki borowe,
drwale z piosnki, drwale z bajki — ludzie jay



Już szum puszczy ucicha daleki.
Doszła Pyza przez łąki do rzeki.
Frują czajki nad łąki pachnące,
fruną czajki — śpiewaki kwilące.



A przy brzegu, przy szerokim, brzmia piosnki
drwalowe.
wałą młotem w wielkie pale cudaki borowe.
Budują most wielki przez szeroki Bug,
stukają, pukają: stuku, puku, stuk!

(Dokończenie)

— Dobrze, wrócimy — powiedział Mietek trochę drżącym głosem. — Tylko miśsimy jeszcze dużo się nauczyć.

Mnong wysunął przed siebie swojego synka i powiedział:

— Stary Mnong ma wielką prośbę do białych tuanów. Niech zabiorą ze sobą mojego syna, Langnanga. Mnong już jest stary i dużo się nie nauczy, ale jego syn Langnang będzie się uczył z białymi tuanami i wróci bardzo mądry na Matamarę. A wtedy będzie mógł bardzo dużo zrobić go zrobić swoim braciom.

Mietek skinął ręką:

— Dobrze, bierzemy go! — powiedział. Potem cały pochód ruszył w kierunku morza.

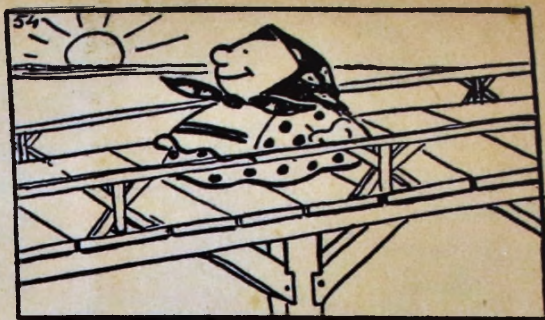
Piątką młodych podróżników zajęły miejsca, a pod ławkami umieszczono k

wędrowała

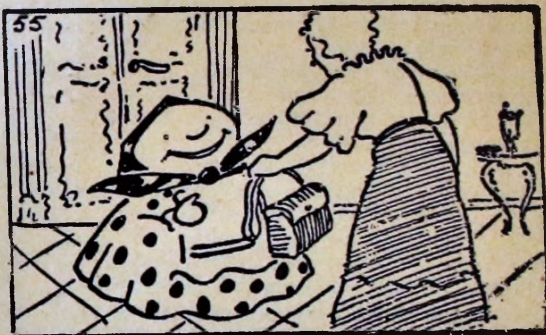


enki,
ów
— sęki,
vorowe.

Jaworowe ludzie — co wy tu robicie?
Budujemy mosty dla pana starosty,
tysiąc koni przepuszczamy,
a jednego zatrzymamy!



A kiedy skończycie? — Przez nocę skończymy!
Jeszcze sobie groszy sporo zarobimy.
Gdy zabłyśnie ranek — po drewnianym moście,
przejdzie tłusta Pyza do starosty w gości!



Sama starościna pięknie ją gościła,
jeszcze słodki placek w torbę jej włożyła.
— A dokąd — że teraz, pani Pyza zmierza?
— Teraz tobym chciała dojść do Sandomierza!



sze z owocami i suszonym mięsem bawo-
łów.

Mietek uściśnął po europejsku dłoń
starego Mnonga, co też zrobili wszyscy
chłopcy. Potem Mnong uściśnął jeszcze
swego syna i cofnął się.

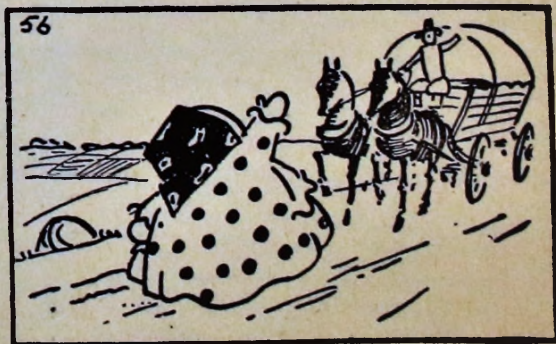
— W imię Boże, naprzód! — zawołał
Mietek.

Brzeg usuwał się coraz bardziej w dal.
Już nie można było rozróżnić poszczegól-
nych twarzy, tylko widać było tłum, sto-
jący nad brzegiem. Potem widać było
tylko siny pas ziemi na horyzoncie, a po-
tem dokoła rozpostarło się tylko morze
nakryte błękitnym kłosem nieba.

Chłopcy byli na pełnym morzu.

Dobrze popołudniu zawołał Langnang,
który miał doskonale oczy:

(Dokończenie na str. 6)



Jadą wielkie fury — Pyzula przystaje
i dziarskim fernalom ręką znaki daje.
— Podwieźcie mnie, proszę, w sandomierski stronę,
macie piękny zaprzęg z tych koników wronych!
(DCN)

— Ziemia!

Łódź zbliżała się szybko ku ziemi i wi-
dać było jakiś ciemny punkt na tle jasne-
go wybrzeża.

— Co to, łódź? — zapytał Wacek nie-
cierpliwie Mietka, patrzącego przez lor-
netkę.

Wówczas Mietek odjął lornetkę od oczu
i powiedział:

— Chłopcy, podziękujmy Bogu! To
okręt.

— Okręt!

Tak, to był okręt! Teraz już widać
było kominy, maszty... potem — ludzi kre-
cących się po pokładzie.

Z bijącym sercem podjeżdżali chłopcy
do olbrzyma, który miał być ich łączni-
kiem z Ojczyzną.

Byli już tak blisko, że mogli dojrzeć
twarze marynarzy. Z okrętu też ich za-
uważono i gromadka marynarzy zebrała
się w tyle statku.

— Ale po jakiemu do nich mówić? —
gorączkował się Julek. — Po angielsku
chyba? Przecież pamiętamy coś nie coś
z naszej podróży na Wiktorji!

Tymczasem na statku odezwał się do-
nośny głos jednego z marynarzy:

— A to co za ludzie?

O cudzie! To był język polski!..

Chłopcy zaniemówili ze wzruszenia, a
potem zaczęli krzyczeć jak warjaci:

— Czuwaj! Jak się macie! Dzień-
dobry! Myśmy Polacy!

Na okręcie wszczął się szalony ruch.
marynarze jeden przez drugiego rzucili
się do chłopców — którzy też za chwilę zna-
leźli się na pokładzie.

— Jesteście na polskim statku szkol-
nym „Lwów“ — powiedział jeden z ma-
rynarzy, a drugi wołał:

— Macie szczęście, że wpadliście na
nas, bo tu żadne okręty nie stają. My mu-

sielniśmy zrobić małą naprawę i tylko dla-
tego znaleźliśmy się tutaj.

— Ale kto wy ostatecznie jesteście?

— dopytywał się trzeci.

Chłopcy odpowiadali bezładnie na
bezładne pytania, ścisłali ręce na wszyst-
kie strony, śmieli się i plakali zarazem.

Naraz marynarze rozsłonek się, dając
drogę kapitanowi. Kapitan, stary wilk
morski, podał rękę chłopcom, winszując
im wydostania się cało z przygód, poczem
zawołał fryzjera i krawca.

— Musimy zrobić z was europejczy-
ków, do stu hecsek! — zaśmiał się. — A i
sen wam się należy.

Na drugi dzień rano wszyscy chłopcy,
nie wyłączając Lagnanga zjawili się na
pokładzie w białych marynarskich spod-
niach, granatowych kurtkach i białych
„kapitańskich“ czapkach.

Mieli teraz zupełny wypoczynek i
tylko ciągle od początku musieli powta-
rzać swoje przygody.

„Lwów“ wracał właśnie do Polski z
wielkiej podróży i szybko zbliżał się do
celu.

ZAKONCZENIE

Cała czwórka z Wygwizdowa uczy się
pilnie, gdyż chłopcy chcą dogonić prze-
puszczony rok nauki szkolnej i jak naj-
prędzej zdać do szkoły morskiej w Teze-
wie. Mietek będzie mógł prawdopodob-
nie zrobić to już za rok, inni będą musieli
poczekać trochę dłużej. Chłopcy uczą
się zawzięcie i to nietylko tego, co się wy-
maga w szkole, ale z własnej ochoły cho-
dzą do fabryk i warsztatów, przyglądając
się różnym rodzajom pracy i wypytyują
o to, czego nie rozumieją. Lagnang to-
warzysz im we wszystkim, bo po pol-
sku mówi już doskonale. Wszyscy trwa-
ją w postanowieniu powrócenia na wyspę
Matamora.
Jerzy Ostrowski

Kolędnicy

Po zawieci, po śnieżycy
Białą wsią od chat do chat
Wędrujemy, kolędnicy.
Rozśpiewani w cały świat.
Grzmi kolędą noc wesola.
Rażno chrupie śniegu skrzyp
Swoje twarze dookola
Wyglądają z poza szub.
Idziem wsiami, zagonami.
Gdzie nam każdy sercem rad
Cała ziemia śpiewa z nami,
Każda chata, każdy sad.

A witajcież, dobrzy ludzie,
Otwierajcie ścieżkę drzwi!
Przynosimy wieść o cudzie
Co po całej ziemi grzmi.
Bóg się rodzi, moc truchleje —
Chodźcie z nami serca wnieść!
Przez śnieżycę, przez zawieję
Przynosimy dobrą wieść.
Dobrej woli pokój w świecie
Dobrą wolę Bóg nam daj!
Podnieś rękę, Boże Dziecię,
Pobłogosław miły kraj!

Bronisława Ostrowska

Mała mateczka

Przytuliła do serca laleczkę
I pieściła swą drogą córeczkę.
Córusiu, zasnij kochanie,
Nic ci się złego nie stanie.

Gorączkę ma moja biedaczka!
Bądź pewna — to minie znieenacka.
Już doktor opukał laleczkę,
Powiedział — uzdrowię córeczkę.

Lalka więc trzy dni leżała
Lekarstwo gorzkie tykała.
Posłuszna — biedna dziecina
Kochana Lalka jedyna

Doktor powiedział na uszko
„Lalka ma chore serduzsko”.
Ogromnie jestem zmartwiona
Chorobą Lalki zmęczona.

Bańki jej dobrze zrobiły,
Plucka zajęte już były.
Lalka jest zdrowsza więc teraz —
Piosenkę śpiewa też nieraz.

Na spacer codziennie wywożę
Laleczkę moją jedyną,
W wózekku dobrze ułożę
Słodką kochaną dziecinę.

I tak się cieszę serdecznie,
Lalka do zdrowia wróciła,
Córeczkę drogą bym wiecznie
Do serca mego tuliła.

I codziennie gdy wstaję zrana
Patrzę — czy słońce już świeci,
Ciesz się Lalka kochana,
Jedziem na spacer do dzieci.

I teraz zawsze w ogrodzie
Razem ze zdrową Laleczką
Gonimy łabędzie po wodzie
Z wesołą na ustach piosneczką.

Wyścig sprytnych główek



ZAGADKA

(za rozwiązanie 2 punkty)

Jeśli mi „ka” zabierzesz
przydam ci się w gorączce
Jeśli nic nie zabierzesz,
przydam ci się na książce.
Jeśli zabierzesz „o” na przedz
reszta przez rzekę cię powiedzie.

SZARADA

(za rozwiązanie 2 punkty)

Pierwsza — trzecia rano z mlekiem
smaczna na śniadanie.
Pierwsza — druga za człowiekiem
idzie w ślad
przez cały świat
za złe postępowanie.
Druga — czwarta często sgora,
gdy zadana z ręki wroga.
Kiedy druga z trzecią chodzi,
tworzą miasto obok Łodzi.
Całość przez pustyni obszary
ludzi przewozi i towary.

BILECIKI WIZYTOWE

Czym się zajmują?

(po 1 punkcie za rozwiązanie)

PAN I. SZECKI

E. ŚLICZNY

LUCYNA EICZAK

Dużo szczęścia w Nowym Roku życzą wszystkim swoim przyjaciółom
Krasnale

Modlitwa na Nowy Rok

Obfitość łask na ziemi zlej
w tym NOWYM ROKU wszędzie,
Niechaj na ziemi będzie łżej,
Niech RADOŚĆ ją oprzędzie...
I w złote skiby przeorz łan
Dusz naszych, Wielki Paniel
I wyrwij je z obludy ścian,
Daj PRAWDY królowanie!
I w cudne myśli ubierz skrofu
Przejasnym Twym uplotem,
I daj pogody jasną toń
I rozzwoń WIARY złotem...
I w dobre CZYNY przekuj moc,
I PRACY rozwiń pole...
Daj wieczny dzień...
Zgaś wieczną noc!...
Daj lepszą, jasną DOŁĘ!!!

Zuchy gwiazdory

Za tą gwiazdą, za tą złotą,
W której świeczki plomyk,
Idą zuchy po koleddie
Od domu, do domu.
A z zuchami biała koza
I kudłaty misio;
Koza — to nasz Teodorek,
A niedźwiadkiem — Rysio.
Jak heroldy Jezuskowe;
WIARY i POKOJU
I MIŁOŚCI i POGODY —
Idziem w zgodnym roju...
I śpiewamy pastoralki,
Aż słyhać za staję:
Koza beczy, niedźwiędź mruczy.
Ile głosu staję,

Chodźmy do Bożej Dzieciny

(pokaz zuchowy przy choince)

Wszyscy za „scena“, czy ukryci:

Chodźmy do Bożej Dzieciny

Wyciągajmy swe nożyny.

Hej-tam! Hej-tam!

Hej-tam Hej!

Marynarze:

Na okrętach nasza droga

Prowadzi do Pana Boga

Chlup, chlup, chlup, chlup!

Chlup, chlup, chlup!

(wykonują ruch wiosłowania)

Lotnicy:

My, w niebiosa lazurowe

Samoloty puścim nowe:

Wrrr... wrrr... wrrr... wrrr...
Wrrr... wrrr... wrrr...

(od dołu wykonują do góry ruch
wznoszącego się samolotu).

Żołnierze:

A my z bronią podążymy

I na wiwat wystrzelimy:

Pach! pach! pach! pach!

Pach! pach! pach!

(wykonują ruchy strzelania w górę
na wiwat).

Górnicy:

By nie zmarzło Dziecię Boże

My, górnicy, węgiel złożym.

Buch, buch, buch, buch,

Buch, buch, buch!

(udają rzucanie brył węgla)

Górale:

My, górale — z cichej hali,

Na skrzypczkach będziemy grali:

Dyl-dyl-dyl-dyl!

Dyl-dyl-dyl!

(niby grają na skrzypkach)

Krakowiaczy:

Zatańczymy my, przed Panem —

Hej-że nóżki w zgrabne tany!

Hoc! hoc! hoc! hoc!

Hoc! hoc! hoc!

(tańczą).

Zuchy:

A my, pieśnią powitamy

I weselo zaśpiewamy:

La, la, la, la,

La, la, la!

(śpiewają).

Wieśniacy (para):

(Ona) Ja wełnianą nosię chuste.

(On) Ja prosiatko — takie tuste.

Kwii, kwiii, kwiii, kwiii,

(zuch-wieśniak niesie owiniętego w
prześcieradło mniejszego zucha, ten
udaje prosię i kwiczy).

Wszyscy — ustawiwszy się w
szeregu — wychodząc:

Wszyscy do Jezuska śpieszą,

Chodźmy tam też wielką rzeszą!

Raz, dwa — raz, dwa!

Raz, dwa — raz!